



PROLOG

Jude uniosła ciężki ćwiczebny miecz i przybrała pierwszą pozycję – gotowości.

Przywykniesz do tego brzemienia – pouczał ją Madok. Musisz mieć dość siły, by zadawać cios za ciosem, cios za ciosem, nie poddając się znużeniu. To pierwsza rzecz, jakiej musisz się nauczyć – jak wykrzesać z siebie tę siłę. Będziesz przy tym cierpieć. Ale ból daje siłę.

Stopy mocno ukorzenione w trawiastej ziemi. Wiatr rozwiewał jej włosy, gdy przybierała kolejne pozycje. Raz: miecz przed sobą, głownia odchylona w bok zasłania ciało. Dwa: głowica rękojeści wysoko, jakby klinga była rogiem sterczącym z jej głowy. Trzy: dłoń na wysokości biodra, a potem niby od niechcienia, nagły wypad. Potem czwarta pozycja: znowu ręka w górze, na wysokości ramienia. Z każdej pozycji można bez trudu przeprowadzić atak lub przejść do obrony. Szermierka jest jak szachy, trzeba przewidzieć ruch przeciwnika i wyprzedzić go, nim wrogie ostrze dosięgnie celu.



Tak, tylko że w te szachy gra się całym ciałem. A po partii takiej gry prócz siniaków pozostają zmęczenie i żal do całego świata, a także do siebie samej.

Choć może należałoby jednak szermierkę porównać do jazdy na rowerze. Kiedy się tego uczyła, jeszcze w realnym świecie, wielokrotnie upadała. Miała tak pozdzieraną skórę, że mama zastanawiała się, czy nie zostaną jej trwałe blizny. Jednak Jude wzdurzyła dodatkowymi kółeczkami i bezpieczną jazdą po chodniku – w przeciwieństwie do Taryn. Jude chciała pędzić ulicą tak jak Vivi, nawet jeśli oznaczało to grudy żwiru wbite w skórę na kolanach. Cóż, wieczorem tatuś wydobędzie je za pomocą pęsety.

Jude czasem tęskniła za swoim rowerem, ale w Elysium takich urządzeń nie było. Zastępowały je gigantyczne ropuchy, filigranowe zielonkawe kucyki i chude jak cienie rumaki o dzikich oczach.

No i miała broń.

I mordercę swoich rodziców, ojczyrna. W jednej osobie. Madok, głównodowodzący wojsk Najwyższego Króla, chciał ją nauczyć, jak się szybko galopuje oraz jak się walczy na śmierć i życie. I choć go młóciła z całej siły, on tylko się śmiał. Podobała mu się jej złość. Nazywał to ogniem.

Ona też lubiła, gdy ogarniał ją gniew. Lepiej się wściekać, niż się bać. Lepiej niż pamiętać, że jest się śmiertelną istotą pośród potworów. Tu już nie było opcji dodatkowych kółeczek.

Po przeciwnej stronie dziedzińca ćwiczebnego Madok sprawdzał kolejne pozycje szermiercze Taryn. Taryn też się uczyła fechtunku, miała jednak zupełnie inne podejście do ćwiczeń niż Jude. Jej postawa zawsze była perfekcyjna, ale samych pojedynków nie cierpiała.



U niej oczywistej obronie towarzyszyły oczywiste kontrataki, dlatego łatwo ją było podpuścić, stosując serię konwencjonalnych technik, by następnie z nagłą wybić z rytmu i pokonać. Za każdym razem, gdy tak się działo, Taryn okropnie się złościła, tak jakby Jude zmyliła krok w tańcu – a nie wygrała w pojedynku.

– Chodź bliżej – zawołał Madok do Jude.

Ruszyła w jego kierunku, brodząc w srebrzystej trawie, z mieczem opartym o ramię. Słońce chyliło się już ku zachodowi, lecz elfowie to stwory nocy, więc dla nich pora aktywności dopiero się zaczynała. Na niebie jaśniały miedziane i złote smugi. Jude głęboko wdychała aromat sosnowych igieł. W tej chwili czuła się, jakby była zwykłą dziewczyną, która poznaje tajniki zwykłego sportu.

– Teraz nowe ćwiczenie – zapowiedział Madok, gdy Jude podeszła bliżej. – Wy dwie przeciwko wyleńialemu staremu wydze.

Taryn oparła się o miecz, wbijając jego sztych w ziemię. Nie powinna tego robić, w ten sposób tępi się bowiem ostrze, lecz tym razem Madok nie udzielił jej reprimendy.

– Czym jest władza? – odezwał się, po czym sam sobie udzielił odpowiedzi: – Władza to możliwość zdobycia tego, czego pragniemy. Władzę mamy wtedy, gdy to my jesteśmy w stanie decydować. W jaki zaś sposób można zdobyć władzę?

Jude stanęła obok siostry. Najwyraźniej Madok oczekiwał odpowiedzi, a co więcej, oczekiwał odpowiedzi błędnej.

– W taki, że uczymy się walczyć? – odpowiedziała, byle coś powiedzieć.

Gdy Madok uśmiechnął się do niej, błysnęły czubki jego dolnych kłów, dłuższych niż pozostałe zęby. Zmierzwił jej włosy. Po-



czuła na skórze czaszki ostre końce szponów; lekkie muśnięcie, lecz wystarczające, by przypomniała sobie, z kim ma do czynienia.

– Władzę zdobywamy, biorąc ją sobie.

Wskazał palcem niski pagórek, na którym rósł kolcodrzew.

– Teraz się pobawimy. To jest moje wzgórze. Wy macie je zdobyć.

Taryn posłusznie ruszyła w tamtą stronę, Jude za nią. Madok przyglądał się im, szczerząc się w uśmiechu.

– I co teraz? – spytała Taryn, trudno było dosłuchać się w jej głosie entuzjazmu.

Madok spojrział gdzieś w dal, jakby rozważał i odrzucał rozmaite opcje.

– Teraz macie go obronić przed napaścią.

– Zaraz, jak to? – zdumiała się Jude. – Mamy bronić się przed tobą?

– To jest gra strategiczna czy ćwiczymy szermierkę? – spytała Taryn, marszcząc brwi.

Madok wsunął palec pod jej podbródek i uniósł go tak, że spoglądała wprost w jego złote kocie oczy.

– Czymże jest szermierka, jeśli nie grą strategiczną rozgrywaną w błyskawicznym tempie? – odpowiedział poważnym tonem. – Naradz się z siostrą. Kiedy słońce dojdzie do tamtego drzewa, przybędę, aby odzyskać swoją własność. Powalcie mnie choćby raz, a zwyciężycie.

Powiedziawszy to, oddalił się i skrył w kępie drzew. Taryn siadła na trawie.

– Nie chcę tego robić – stwierdziła.

– To tylko gra – przypomniała jej nieco zdenerwowana Jude.



Taryn obrzuciła ją przeciągłym spojrzeniem – takim, jakim się zawsze obrzuciły, kiedy któraś z nich usiłowała udawać, że wszystko jest w porządku i nic niezwykłego się nie dzieje.

– Dobra, a twoim zdaniem co powinniśmy zrobić?

Jude spojrzała w górę, na konary kolcodrzewu.

– Może jedna z nas będzie rzucać kamieniami, a druga skrzyżuje z nim ostrze?

– Niech ci będzie – zgodziła się Taryn i zaczęła zbierać kamienie w fałdy spódnicy. – A nie boisz się, że wpadnie w szal?

Jude potrząsnęła głową, choć dobrze rozumiała, co Taryn ma na myśli. Co będzie, jeżeli niechący je wtedy pozabija?

Jak to mówiła mama do taty, „nikt nie wybiera, gdzie umiera”. To było jedno z tych dziwnych powiedzonek dorosłych, które wydawały się jej wtedy bez sensu, takich jak na przykład „lepszy wróbel w garści niż dzięcioł na dachu” albo „kij ma dwa końce” czy już zupełnie niezrozumiałe „wolno kotu patrzeć na króla”. Teraz jednak, kiedy trzymała w dłoni ostrą broń i czekało ją starcie z dużo silniejszym przeciwnikiem, nagle zrozumiała pierwsze powiedzenie.

– Zajmij stanowisko – poleciła.

Taryn, nie zwlekając, wdrapała się na drzewo. Jude zerknęła na słońce. Zastanawiała się, jakiego podstępu może użyć Madok. Im później zaatakuje, tym będzie ciemniej, czyli gorzej dla Jude i Taryn, które nie widzą w ciemnościach.

Okazało się jednak, że nie uciekł się do żadnego podstępu. Nagle wypadł spośród drzew, biegł w kierunku sióstr i wrzeszczał, jakby prowadził na bój całą hordę zbrojnych. Pod Jude nogi ugięły się z przerażenia.



To tylko gra – powtarzała gorączkowo w myślach. Jednak im bardziej Madok się zbliżał, tym mniej jej ciało skłonne było w to uwierzyć. Zwierzęca wola przetrwania ponaglała ją do panicznej ucieczki.

Wobec jego ogromu strategia dwóch drobnych istot była wprost śmieszna. Jude nagle ujrzała przed oczami ociekające krwią zwłoki matki, poczuła odór trzewi wypływających z jej brzucha. Wspomnienie walnęło ją jak obuchem. Teraz i ona umrze.

Uciekać! – nawoływał jej organizm. – W nogi!

Nie, matka próbowała ucieczki. Jude zapała się mocno stopami w ziemię.

Zmusiła się do przybrania pierwszej pozycji, chociaż kolana jej drżały. Madok dodatkowo miał też przewagę impetu, mimo że biegł pod górę. Grad kamieni ciskanych przez Taryn nie zrobił na nim najmniejszego wrażenia.

Jude nie próbowała nawet sparować pierwszego uderzenia, tylko zeskoczyła z linii natarcia. Schroniła się za drzewo, uniknęła też w ten sposób drugiego i trzeciego ciosu. Czwarty powalił ją na ziemię.

Zacisnęła powieki, czekając na uderzenie śmierci.

– Kiedy nikt nie patrzy, możecie sobie coś wziąć. Trudniej jednak jest taką zdobycz zachować, nawet jeśli ma się przewagę – pouczył ją ze śmiechem Madok. Spojrzała i zobaczyła wyciągniętą dłoń. – Władzę znacznie łatwiej jest zdobyć, niż ją utrzymać.

Ogarnęło ją poczucie ulgi. A więc jednak to naprawdę tylko gra. Po prostu kolejna lekcja.

– To było niesprawiedliwe – poskarżyła się Taryn.

Jude milczała. W Krainie Elfów nie było czegoś takiego jak sprawiedliwość. Dawno już się tego nauczyła.



Madok pomógł Jude wstać, objął ją ciężkim ramieniem. Przygarnął też w uścisku jej siostrę. Pachniał dymem i zaschniętą krwią. Jude przytuliła się do niego. Jak dobrze znaleźć się w czyimś objęciu, choćby i w objęciu potwora.



Nowy król elfów rozpiera się na tronie, na głowie ma niedbale przekrzywioną koronę, długi, jadowicie szkarłatny płaszcz opada mu z ramion, zamiatając podłogę. Z przekłutego ucha zwisa kolczyk, na palcach lśnią ciężkie pierścienie. Jednak jego największą ozdobą są miękkie, nadąsane usta.

Z ich powodu wygląda właśnie na takiego gnojka, jakim jest w rzeczywistości.

Stoję u jego boku, na zaszczytnym miejscu seneszala. Rzekomo jestem najbardziej zaufaną doradczynią króla Cardana, odgrywam więc tę rolę, aby nie wyszło na jaw, kim jestem naprawdę – szarą eminencją pociągającą za sznurki. Posiadam bowiem moc, by zmusić go do posłuszeństwa, gdyby tylko zapragnął mi się sprzeciwić.

Wypatruję w tłumie szpiega Dworu Cieni; wiem już, że moi podwładni przejęli wiadomość z Wieży Zapomnienia, gdzie uwięziony został brat Cardana, i to ja ją otrzymam, a nie królewski adresat.



To tylko jeden z wielu kłopotów.

Mija pięć miesięcy, odkąd przemocą osadziłam Cardana na tronie jako swoją królewską marionetkę; pięć miesięcy, odkąd zdradziłam swój ród, odkąd siostra zabrała mojego braciszka do krainy śmiertelników, z dala od korony, którą mógłby nałożyć. Pięć miesięcy, odkąd skrzyżowałam klingę z Madokiem. Pięć miesięcy, odkąd spałam dłużej niż kilka godzin z rzędu.

Mogłoby się wydawać, że postawiłam na swoim, i to nawet w iście elfowym stylu. Na tronie posadziłam kogoś, kto mną pogardza, a to dlatego, by uchronić Dęba przed niebezpieczeństwem. Udało mi się przechrzyć Cardana i zaprzysiągł mi posłuszeństwo na rok i dzień. Pamiętam euforię, jaka mnie ogarnęła, gdy mój przewrotny plan się powiódł. Wtedy wydawało mi się, że to mnóstwo czasu, cała wieczność. Teraz jednak muszę znaleźć sposób, by na dłużej utrzymać nad nim władzę, a przy okazji chronić go przed samym sobą. Na tak długo, by Dąb nie utracił czegoś, co mnie nie było dane – a mianowicie dzieciństwa.

Teraz rok i dzień zdaje się krótką chwilą.

I choć to ja osadziłam Cardana na tronie, i choć stało się to za sprawą moich przebiegłych machinacji, i choć tylko dzięki mnie nie utracił dotąd korony wraz z głową, trudno mi powstrzymać niepokój, gdy widzę, jak wyśmienicie czuje się w tej roli.

Elfowych władców łączy z ziemią swoista więź. W jakiś mistyczny sposób, którego ja pojąć nie mogę, są krwią i bijącym sercem swojego królestwa. Cardan z pewnością tej więzi nie odczuwa, w każdym razie nie w pełni. Zapewne bierze się to stąd, że powziął solenne postanowienie, by pozostać próżniakiem, który nawet nie tyka prawdziwych kwestii związanych ze sprawowaniem władzy.



W zasadzie jego obowiązki ograniczają się do tego, by pozwalać całować się po upierścienionych dłoniach i przyjmować hołdy swojego ludku. Nie wątpię, że to akurat sprawia mu przyjemność – te wiernopoddańcze pocałunki, pokłony do samej ziemi. Niewątpliwie raduje go też możliwość nieograniczonego korzystania z zasobów królewskich piwnic. Wciąż i wciąż każe napełniać bladozielonym likworem swój wysadzany klejnotami kielich. Sam zapach trunku przyprawia mnie o zawrót głowy.

Gdy przez chwilę nikt mu nie nadskakuje, zerka w moją stronę.

– Dobrze się bawisz? – pyta, unosząc jedną czarną brew.

– Nie tak dobrze, jak Wasza Królewska Mość – odpowiadam.

Owszem, za szkolnych czasów szczerze mnie nienawidził, lecz był to ledwie nędzny ogarek wobec buzującego teraz nieustannie płomienia. Jego usta wykrzywiają się w uśmiechu, w oczach lśni przewrotny błysk.

– Przyjrzyj się swoim poddanym. Jaka szkoda, że żaden z nich nie wie, kto jest ich prawdziwym władcą.

Czuję falę gorąca na twarzy. Jednym z nielicznych jego uzdolnień jest umiejętność takiego prawienia komplementów, że stają się one obelgą; potrafi w ten sposób dotknąć boleśniej, niż gdyby cisnął złe słowo w twarz.

Na tyłu dworskich balach skrzętnie się pilnowałam, by pozostać niezauważoną, a teraz widzą mnie wszyscy. I to w pełnym świetle świec, w jednym z trzech niemal identycznych czarnych kaftanów, które noszę co wieczór, z mieczem imieniem Brzask u boku. Wirują w swoich tańcach i grają swoje pieśni, piją swoje złote wino i układają swoje zagadki oraz zaklęcia, ale ja spoglądam na nich z wyżyn kró-



lewskiego podium. Są piękni, straszni i mogą sobie do woli pogardzać mną jako śmiertelniczką, lecz to ja zajmuję to miejsce, nie oni.

Zapewne nie różni się to tak bardzo od życia w ukryciu. Może to tylko swoista kryjówka, tylko że dla wszystkich jestem widoczna. Nie potrafiłabym jednak zaprzeczyć, że władza, którą posiadam, przyprawia mnie o bezustanny dreszczyk emocji; za każdym razem, gdy o tym pomyślę, czuję przyływ satysfakcji.

Wolałabym natomiast, żeby Cardan nie zdawał sobie z tego sprawy.

Wypatruję mojej siostry bliźniaczki, Taryn. W końcu ją dostrzegam: tańczy z Lokim, swoim narzeczonym. Lokim, który, jak kiedyś mi się wydawało, mógłby mnie pokochać. Lokim, którego, jak kiedyś mi się wydawało, mogłabym kochać. Teraz jednak brakuje mi wyłącznie Taryn. Czasem miałabym ochotę zeskoczyć z podium, podejść do niej i wytłumaczyć, dlaczego dokonałam takiego, a nie innego wyboru.

Jej ślub odbędzie się już za trzy tygodnie, a my wciąż nie odezwałyśmy się do siebie ani słowem.

Powtarzam sobie w kółko, że to ona powinna uczynić pierwszy krok. W końcu w historii z Lokim ohydnie wystawiła mnie do wiatru. Nadal mi głupio, kiedy na nich patrzę. Nie musi nawet przeproszać, ale niech przynajmniej nie udaje, że nie ma za co. Przystałabym i na taki układ. Nie zdobędę się jednak, żeby podejść do niej, żeby prosić, żeby błagać.

Śledzę ją wzrokiem, gdy tańczy.

Nie próbuję nawet odszukać wzrokiem Madoka. Utrata jego miłości to część ceny, jaką zapłaciłam za osiągnięcie tego stanowiska.

Niski elf o twarzy poranej głębokimi zmarszczkami klęka obok podium, co znaczy, że chce uzyskać posłuchanie. W mankietach jego fraka lśnią klejnoty, płaszcz spina brosza w kształcie ćmy, której skrzy-



dełka same się poruszają. Mimo iż okazuje pokorę, w jego spojrzeniu widzę chciwość.

Obok niego stoją dwa długonogie, bladolice boginy górskie; ich włosy powiewają, chociaż nie ma wiatru.

Trzeźwy czy pijany, ale jako Najwyższy Król elfów Cardan musi wysłuchiwać swoich poddanych, którzy zgłaszają się doń, by zarządzić ich kłopotom, choćby najbłahszym, lub pragną prosić go o jakąś łaskę. Nie potrafię sobie wyobrazić, dlaczego ktoś mógłby chcieć oddać swój los w jego dłonie, ale Kraina Elfów to bardzo dziwna kraina.

Na szczęście ja tu jestem, gotowa, by jak przystało na seneszala, szepnąć do królewskiego ucha słówko rady czy przestrogi. Różnica polega na tym, że król musi być mi posłuszny. Może odpowiedzieć najstraszliwszą obelgą, ale będzie musiał to uczynić również szeptem.

Oczywiście pojawia się kwestia, czy zasługuję, by mieć aż taką władzę. Powtarzam sobie nieraz, że nie będę wredna tylko dla zabawy. To, co robię, powinno mieć jakiś sens, czemuś służyć.

– Oho – odzywa się Cardan. Nie wstając z tronu, pochyła się, przez co korona zsuwa mu się nieco bardziej na bok. – Zapewne sprawy nie byle jakiej wagi sprowadzają was przed oblicze Najwyższego Króla. – Upija potężny łyk wina i obdarza przybyłych łaskawym uśmiechem.

– Zapewne już o mnie słyszałeś, panie – powiada niski elf. – To ja sporządziłem koronę, którą masz na swojej głowie. Zwań mnie Grim-sen Kowal i za sprawą króla Olszyn długo przebywałem na wygnaniu. Teraz jego kości zaznają już spoczynku, a w Fairfold nastał nowy władca, tak jak i tutaj rządy objął nowy Najwyższy Król.

– Severin – podpowiadam.



Kowal spogląda na mnie zaskoczony, że śmiałam się odezwać, potem jego wzrok znów wędruje w stronę Najwyższego Króla.

– Upraszam, byś pozwolił mi wrócić na Najwyższy Dwór.

Cardan mruga kilka razy, jakby próbując skupić wzrok na petencie.

– Ale dlaczego zostałeś wygnany? Czy może sam się skazałeś na wygnanie?

Cardan trochę opowiadał mi o Severinie, jednak o Grimsenie nie wspominał. Rzecz jasna słyszałam o Kowalu. To on sporządził Koronę Krwi dla królowej Mab i wplótł w nią potężne czary. Powiada się, że potrafi z metalu sporządzić wszystko, nawet żywe istoty – żelazne ptaki, które latają, srebrne węże – wijące się i jadowite. To on wykuł bliźniacze miecze, Sercożera i Sercokłęka, z których jeden nigdy nie chybia celu, drogi przeciąć może wszystko. Niestety, wykuł je dla króla Olszyn.

– Przysiągłem mu wierność jako sługa – wyjaśnia Grimsen. – Gdy udał się na wygnanie, musiałem za nim podążyć, a tym samym popadłem w niełaskę twojego ojca, panie. Dziś, gdy obaj już nie żyją, błagam o ten jeden fawor, bym mógł zdobyć sobie pozycję na twym dworze. Daruj mi, proszę, karę, a moja lojalność wobec ciebie tak wielką będzie, jak twoja mądrość.

Spoglądam uważniej na karłowatego elfa-kowala. To dość oczywista gra ze słowami. Jednak po co byłoby mu takie krętactwo? Jego prośba jest zrozumiała i zapewne szczerą, czego raczej nie można powiedzieć o jego pokorze, ale biorąc pod uwagę sławę, jaką się cieszy, trudno się dziwić.

– Niech się tak stanie – odpowiada Cardan, chyba zadowolony, że poproszono go o coś, co tak łatwo może dać. – Dni twojego wy-



gnania są skończone. Złóż mi przysięgę wasalną, a z chęcią powitam cię na swoim dworze.

Grimsen składa głęboki ukłon, na jego twarzy odmalowuje się teatralne zakłopotanie.

– Szlachetny władco, żądasz doprawdy niewiele od swojego słu-
gi i masz po temu wszelkie prawo, lecz ja, który wiele wycierpiałem
z powodu składanych przysięg, wzdragam się przed wiążącymi słowy.
Wyświadczyć mi, upraszam, jeszcze tę łaskę, bym mógł okazać swoją
wierność za pomocą uczynków, nie zaś dlatego, iż zmuszą mnie do
tego wyrzeczone zdania przysięgi.

Kładę dłoń na ramieniu Cardana, ale on uwalnia się od niej opry-
skliwym ruchem. Mogłabym coś powiedzieć, a wtedy musiałby – na
mocy swojego zobowiązania – być mi posłuszny, przynajmniej by
mi się nie sprzeciwiał, nie bardzo jednak mam pomysł, jakich argu-
mentów użyć. Bądź co bądź taki Mistrz Kowalski na usługach Elfha-
me to nie byle co. Może nawet warto zrezygnować z wiernopoddań-
czej przysięgi.

A jednak w spojrzeniu Grimsena dostrzegam podejrzany błysk, zbyt-
nią pewnością siebie. Podejrzewam podstęp.

Cardan odzywa się, nim udaje mi się dojść do jakiegokolwiek kon-
kluzji.

– Niechże i tak będzie. Udzielę ci tej łaski. Na skraju pałaco-
wych włości wznosi się stary budynek kuźni. Otrzymasz go na wła-
sność i tyle metalu, ile ci będzie trzeba. Już się nie mogę doczekać,
by zobaczyć, co dla nas zrobisz.

Grimsen kłania się w pas.

– Łaskawość twoja, o panie, nie pójdzie w zapomnienie.



Znowu nie podobają mi się jego słowa, ale może przesadzam. Może po prostu ten snycerz nad snycerze jakoś mi nie przypadł do gustu. Nie mam zbyt wiele czasu na rozmyślania, bo oto pojawia się następna niezwykła postać, której należy wysłuchać.

To czarownica, stara i dysponująca taką mocą, że w powietrzu wokół niej niemal iskrzy od magii. Jej palce są długie i chude, włosy mają kolor dymu, a nos zakrzywiony jest jak sierp. Na jej szyi widnieje kamienna kolia, każdy kamień jest misternie rzeźbiony w zawijasy, które przyciągają wzrok, hipnotyzują. Gdy podchodzi, jej ciężka suknia rozchyła się u dołu i dostrzegam szponiastą stopę jak u drapieżnego ptaka.

– Królewiatko – powiada czarownica – Mateczka Szpik przynosi ci dary.

– Wymagam tylko wierności – odpowiada niedbale Cardan. – Niczego więcej. Przynajmniej na razie.

– Ależ tak, jakże inaczej. Przysięgałam Koronie – odpowiada i sięga do jednej z kieszeni. Wydobywa z niej materiał czarniejszy od nocnego nieba, tak czarny, że jakby spija światło lśniące w komnacie. Tkanina spływa po jej ramieniu. – Przybywam jednak z daleka, by ci ofiarować rzecz nietuzinkową.

Elfowie nie lubią zobowiązań i długów, dlatego wyświadczonej przysługi nie zbywają zwykłymi podziękowaniami. Poczęstuj takiego herbatnikiem, a on zapełni któryś z pokoi twojego domu ziarnem, byle przewyższyć twój poczęstunek, byle dług pozostawał po twojej stronie. Owszem, poddani nieustannie przynoszą Najwyższemu Królowi złoto, zobowiązują się do usług, składają u stóp tronu miecze noszące wyszukane imiona... Tylko żadna z tych rzeczy nie



jest darem, nikt nie używa tego słowa. Te bogactwa to hołd, czyli coś całkiem innego.

Nie wiem, co ta jędza knuje.

Mruczy pod nosem jak stara kocica:

– Moja córka i ja utkałyśmy materiał z pajęczego jedwabiu i mrocznych snów. Strój z niego ochroni cię przed stalowym ostrzem, a miętki jest przy tym jak cień, gdy muska skórę.

Cardan marszczy czoło, ale nie może oderwać wzroku od zaiste przepięknego materiału.

– Przyznaję, że nie widziałem równie wspaniałej tkaniny.

– A więc przyjmujesz to, z czym przebywam? – pyta z błyskiem w oku wiedźma. – Jestem starsza niż twój ojciec i twoja matka. Starsza niż kamienie tego pałacu. Tak stara jak gnaty ziemi. Choć tyś jest Najwyższym Królem, Mateczka Szpik trzyma cię za słowo.

Cardan mruży oczy. Widzę, że jędza go drażni.

Tym razem wiem, w czym tkwi podstęp. Nim on się odezwie, zabieram głos:

– Powiedziałaś, że przynosisz dary, a widzę tu tylko tę precudną tkaninę. Bez wątpienia Korona z zachwytem ją przyjmie, o ile dana jest z serca.

Jej spojrzenie spoczywa na mnie, twarde i zimne jak czarna noc.

– A kimże ty jesteś, która przemawiasz za Najwyższego Króla?

– Jestem seneszalem Najwyższego Króla, Mateczko Szpik.

– I ty pozwolisz, żeby ta śmiertelna dziewczka za ciebie odpowiadała? – Jędza zwraca się do Cardana.

On zaś spogląda na mnie z taką wzgardą, że aż czuję, jak płoną mi policzki. Spogląda przez dłuższą chwilę. Wydyma usta, krzywi się.



– Niech jej tam będzie – odpowiada wreszcie. – To ją bawi, że może trzymać mnie z dala od kłopotów.

Zwraca swe łaskawe spojrzenie na Mateczkę Szpik.

– Sprytu jej nie brak – rzuca czarownica, jakby wypluwała słowa klątwy. – Doskonale, tkanina należy do ciebie, Najjaśniejszy Panie. Daję ją z serca, ją tylko i nic więcej.

Cardan pochyla się, jakby prowadzili sobie wesołą rozmowę.

– Och, powiedz wszystko. Lubię sztuczki i podstępny. Nawet te, których ofiarą omal nie padłem.

Mateczka Szpik przestępuje z jednej szponiastej nogi na drugą; dopiero teraz okazuje coś na kształt zdenerwowania. Nawet dla czarownicy o tak starych kościach, jak twierdzi, gniew Najwyższego Króla jest niebezpieczny.

– Niech będzie. Gdybyś przyjął to, z czym przychodzę, przyjąłbyś na siebie gęis, mógłbyś pojąć za żonę tylko tkaczkę tego materiału. Mnie albo moją córkę.

Zimny dreszcz przechodzi mi po plecach na myśl, co wtedy mogłoby się stać. Czy Najwyższy Król elfów może zostać zmuszony do takiego mariażu? Z pewnością dałoby się to jakoś obejść. Przypominam sobie, że poprzedni Najwyższy Król w ogóle nigdy nie zawarł formalnego związku małżeńskiego.

Władcy elfowych królestw zazwyczaj się nie żenią, gdyż piastują władzę aż do śmierci lub abdykacji. Za to pośród elfowego społeczeństwa, a także wysokich rodów małżeństwa zdarzają się całkiem często, lecz wszystko ułożono tak, aby można się z nich było wykaraskać. W przeciwieństwie do obowiązującego pośród śmiertelników „dopóki śmierć nas nie rozłączy”, przysięgają sobie wspólne życie „dopó-



ki oboje nie postanowimy się rozstać” albo „dopóki jedno nie uderzy drugiego”, albo jeszcze sprytniej „na całe życie”, przy czym nie jest powiedziane, o czyje życie chodzi. Natomiast oficjalne związki małżeńskie królów są nierozzerwalne.

Gdyby Cardan się ożenił, musiałabym go zrzucić z tronu, aby posadzić na nim Dęba. Jego wybranki też musiałabym się pozbyć.

Cardan unosi brwi, ale na jego twarzy nadal maluje się wyraz błogiej bez troski.

– Zaszczycasz mnie, pani. Nie miałem pojęcia, że jesteś zainteresowana.

Jędza nawet nie mruga okiem, gdy przekazuje swój podarunek któremuś ze strażników przybocznych Cardana.

– Obyś dorósł do rozumu swoich doradców.

– Któż by sobie tego nie życzył – odparowuje Cardan. – A powiedz, czy twoja córka towarzyszy ci w podróży?

– Tak, jest tutaj – odpowiada czarownica.

Z tłumy wyłania się dziewczyna i składa niski pokłon przed Cardanem. Jest młoda, na głowie burza potarganych włosów. Podobnie jak matka ma długie ręce i nogi, chude palce, ale o ile stara jędza jest rosochata i koścista, o tyle dziewczyna nie jest pozbawiona wdzięku. Na pewno prezentuje się lepiej dzięki temu, że ma stopy przypominające ludzkie.

Co prawda skierowane do tyłu.

– Kiepski byłby ze mnie mąż – powiada Cardan, przyglądając się dziewczynie, która jakby skurczyła się pod siłą jego spojrzenia – Zechciej jednak zatańczyć ze mną, a przekonasz się, że posiadam inne zalety.

Spoglądam na niego podejrzliwie.



– Chodźże – mówi Mateczka Szpik do dziewczyny, chwyta ją za ramię i ciągnie za sobą, wcale nie delikatnie. Odchodząc, rzuca spojrzenie na Cardana. – My troje jeszcze się spotkamy.

– Wszyscy chcą cię ożenić, pewnie zdajesz sobie z tego sprawę – mówi przeciągle Loki. Rozpoznaję ten głos, zanim jeszcze Loki zajmie miejsce dopiero co zwolnione przez Mateczkę Szpik.

Szczerzy się w uśmiechu do Cardana, wygląda na zachwyconego sobą i całym światem.

– Lepiej brać sobie nałożnice – mówi Loki. – Całe mnóstwo nałożnic.

– I kto to mówi? Czy aby nie ktoś, kto wkrótce założy sobie małżeńskie okowy? – pokpiwa z niego Cardan.

– Oj, odczep się. Podobnie jak Mateczka Szpik przynoszę ci dar. – Zbliży się o krok do podium. – Tyle że bez ukrytych haczyków.

Spogląda w moją stronę, ale tak, jakby mnie nie widział albo – w najlepszym razie – jakbym była jakimś zakurzonym meblem.

Nie powinnam się tym przejmować. Co mnie to obchodzi? Szkoda tylko, że pamiętam, jak staliśmy na samym szczycie najwyższej wieży w jego włościach i czułam na skórze żar jego ciała. I szkoda, że posłużył się mną, żeby poddać próbie miłość mojej siostry do niego. A najbardziej żałuję, że ona mu na to pozwoliła.

Cóż, jak powiadał mój śmiertelny ojciec: „żałować to dodawać nieszczęście do nieszczęścia”. Jeszcze jedno z tych zdań, które wydają się bez sensu, dopóki nie zrozumiesz, o co chodzi.

– Co takiego? – Cardan jest raczej zaskoczony niż zaciekawiony.

– Pragnę dać ci w prezencie mnie, w charakterze mistrza biesiadnego – oznajmia z dumą Loki. – Proszę, przyznaj mi to stano-



wisko, a zapewniam cię, że z rozkoszą pełnić będę swoje obowiązki i uczynię wszystko, by Najwyższy Król na Elfhame nigdy się nie nudził.

Na dworze jest tak wiele różnych stanowisk, tylu rozmaitej rangi służących i ministrów, ambasadorów i generałów, doradców i krawców, błaznów i lutników, koniuszych i pajęczarzy, i jeszcze całe tuziny innych, że nie wiedziałam, że istnieje coś takiego jak mistrz biesiadny. Może zresztą dotąd go nie było.

– Zapewnię ci uciechy, jakich nawet sobie nie wyobrażasz. – Uśmiech Lokiego jest zaraźliwy. Zapewni mnóstwo kłopotów, co do tego nie mam wątpliwości. Kłopotów, które są mi zupełnie do niczego niepotrzebne.

– Zważaj na słowa – wtrącam, dopiero wtedy na mnie spogląda. – Chyba nie chcesz obrażać wyobraźni Najwyższego Króla.

– Zaiste, zapewne – odpowiada Cardan. Trochę trudno domyślić się, co chce przez to powiedzieć.

Na twarzy Lokiego wciąż gości nie zmacony niczym uśmiech. Jakżeby inaczej – wskakuje na wyniesienie, rycerze stojący po obu stronach natychmiast chcą mu zagrozić drogę, ale Cardan powstrzymuje ich niedbałym ruchem ręki.

– Jeżeli mianujesz go mistrzem biesiadnym... – zaczynam, mówię pospiesznie, zdesperowana.

– Czy zamierzasz mi rozkazywać? – przerywa mi Cardan, unosząc brwi.

Wie, że nie mogę tego powiedzieć, Loki jest tak blisko, że mógłby usłyszeć.

– Skąd znowu – mówię przez zaciśnięte zęby.



– Świetnie – odpowiada Cardan i przestaje na mnie zwracać uwagę. – Mam taką fantazję, żeby spełnić twoje życzenie, Loki. Ostatnio rzeczywiście było strasznie nudno.

Widzę uśmieszek Lokiego i gryzę się w język, żeby nie wypowiedzieć rozkazu. Ależ to by była satysfakcja – zobaczyć jego minę, gdyby się przekonał, jaką mam władzę, także nad nim.

Satysfakcja ogromna, ale głupia.

– Za dawnych czasów w sercu dworu wirowały Kręgi Wilg, Skowronków i Sokołów – oznajmia Loki, nawiązując do skupionych wokół potomków dawnego króla frakcji oddających się zabawie, sztuce lub kunsztom wojennym. Frakcje te na przemian cieszyły się łaskami Eldreda lub je traciły. – Teraz jednak serce dworu jest twoje. Trzeba je złamać.

Cardan patrzy na Lokiego jakoś dziwnie, chyba dopiero teraz przychodzi mu do głowy, że sprawowanie rządów w charakterze Najwyższego Króla może być całkiem zabawne. Zwłaszcza gdyby udało mu się zerwać ze smyczy, na której go trzymam.

Wtedy po przeciwnej stronie podium widzę Bombę, wreszcie się pojawiła. To elfka, która należy do Dworu Cieni i jest szpiegiem. Brązową twarzą otacza wianuszek białych włosów. Daje mi dyskretny znak.

Nie podobają mi się konszachty Cardana i Lokiego, zwłaszcza gdy pomyślę, jakie to uciechy Loki ma w zanadrzu. Jednak ta sprawa musi poczekać, zresztą i tak niewiele bym wskórała, skoro Lokiego właśnie ogarnął zapal, by spełnić swoją najnowszą zachciankę.

Odchodząc, by porozmawiać z Bombą, słyszę za sobą dźwięczny głos Lokiego przebijający się ponad panujący w komnacie gwar:



– Wkrótce w Mleczlesie będziemy świętować Łowiecką Pełnię Księżycy i Najwyższy Król gwarantuje taką rozpustę, że o tych biesiadach bardowie będą układać pieśni. Tyle wam mogę obiecać!

Ogarnia mnie lęk, czuję ucisk w żołądku.

Loki wybiera z tłumu kilka dziewczyn, wciąga je na podwyższenie; to pixie, ich opalizujące skrzydła połyskują w blasku świec. Jedna z nich śmieje się perłście, porywa kubek Cardana i dopija wino do dna. Oczekuję, że ją uderzy, upokorzy lub podrze skrzydła, ale nie – Cardan tylko się uśmiecha i każe sobie dolać wina.

Nie wiem jeszcze, co planuje Loki, ale najwyraźniej Cardan jest aż nadto gotów oddać się proponowanym przezeń zabawom. Zwyczaj jest taki, że po koronacji elfowego króla przez miesiąc trwają biesiady – obżarstwo, opilstwo, turnieje zagadek i pojedynki. Obowiązkiem wiernych wasali jest tańczyć od zmierzchu do świtu, aż zedrą podeszwy. Jednak odkąd Cardan został Najwyższym Królem, minęło już pięć miesięcy, w wielkiej komnacie tronowej wciąż zgiełk i gwar, wciąż pełno biesiadników, ucztom nie ma końca, w kielichach wciąż pieni się miód i goździkowe wino.

Już dawno w Elfhame nie było tak młodego króla, więc dworzan ogarnia nastrój dzikiej, nieokiełznanej zabawy. Pełnia już wkrótce, jeszcze przed ślubem Taryn. Skoro zamiarem Lokiego jest podsycić biesiadne płomienie, urządzać coraz huczniejsze zabawy, jak długo trzeba będzie czekać, by wynikły z tego kłopoty?

Zawsze mam opory przed odwróceniem się do Cardana plecami. Jednocześnie, gdy spotykają się nasze spojrzenia, w jego oczach widzę okiełznaną nienawiść. Choć słucha moich rozkazów, niemal na każdym kroku stawia opór, rzuca mi wyzwanie. Jest w tym znakomity.



Mogłabym niby stwierdzić, że przecież nienawidzi mnie od zawsze, ale przecież przez krótki i dziwny czas zawarliśmy ze sobą coś w rodzaju przymierza i tak jakby nawet się polubiliśmy. Jasne, dziwne to przymierze, które rozpoczyna się od ostrza sztyletu przyłożonego do szyi, jednak w końcu zaufał mi na tyle, by poddać się mojej władzy.

Ja zaś zdradziłam jego zaufanie.

Kiedyś pastwił się nade mną, bo był młody, okrutny i się nudził. Teraz będzie miał o wiele lepszy powód, by zadawać mi ból – kiedy tylko minie rok i dzień. Bardzo trudno mi będzie utrzymać swój wpływ na niego.

Bomba wsuwa mi w dłoń skrawek papieru.

– Kolejny liścik dla Cardana od Balekina – mówi. – Ten dotarł aż do pałacu, dopiero tu go przejęliśmy.

– Taki sam jak dwa poprzednie?

Kiwa głową.

– Bardzo podobny. Balekin próbuje schlebiać Najwyższemu Królowi i nakłania go do odwiedzin w więziennej celi. Chce zaproponować jakiś układ.

– Pewnie, że chce – odpowiadam. Znowu się cieszę, że ktoś kiedyś wprowadził mnie na Dwór Cieni, a przede wszystkim, że nadal mogę liczyć na towarzyszy szpiegowskiej doli.

– Co zrobisz? – pyta Bomba.

– Odwiedzę księcia Balekina. Jeśli chce złożyć Najwyższemu Królowi propozycję, najpierw będzie musiał przekonać jego seneszała.

Kącik jej ust unosi się.

– Pojadę z tobą.



Spoglądam znowu na Cardana, macham ręką.

– Nie. Zostań. Spróbuj dopilnować, żeby Cardan nie narobił sobie kłopotów.

– On sam jest największym kłopotem – stwierdza rzecz oczywistą, ale nie wygląda, jakby ją to jakoś bardzo martwiło.

Przemierzając pałacowe korytarze, dostrzegam w jednej z komnat Madoka; częściowo kryje się w cieniu, spogląda na mnie kocimi oczami. Nie jest na tyle blisko, żeby nawiązać rozmowę, gdyby nie to, zapewne usłyszałabym:

Władzę o wiele łatwiej zdobyć, niż ją utrzymać.